

ALEKSANDRA JANUSZ

Ciasteczko dla Lorelei

Pawła uprzedzono, że towar jest egzotyczny. Powiedziano, żeby niczemu się nie dziwił, a zwłaszcza nie przekładał powszechnych wyobrażeń i zabobonów na rzeczywistą sytuację. W końcu nadal odkrywa się endemiczne gatunki i cuda natury, a niektóre wyjątkowo pobudzają wyobraźnię – tak jak na przykład słynny hobbit z Flores.

Tym razem znalezisko pochodziło z tropikalnej bezludnej wyspy i stanowczo nie wyglądało na wymarłe. Wstępne badania potwierdzały, że łatwo daje się oswajać, hodować, a nawet rozmnażać w niewoli. Odkrywczy wkrótce doszli do wniosku, że na handlu tymi stworzeniami można nieźle zarobić, i szybko zawarli umowę z Firmą. Przygotowano kilka kolonii na sprzedaż, a polski oddział dołożył wszelkich starań, żeby sprowadzono je między innymi do Warszawy. Na razie wszystkie szczegóły były objęte ścisłą tajemnicą handlową.

Do obowiązków Pawła należało przygotowanie kampanii reklamowej.

Magazyn pana Drosselmeyera mieścił się na obrzeżach stolicy. Otoczony żeliwnym ogrodzeniem, ze ścianami w nieprzyjaznym, ciemnoszarym kolorze i zakratowanymi oknami, przywodził na myśl więzienie o podwyższonym rygorze. Na parkingu stało kilka wysłużonych półciężarówek. Dwóch znudzonych ochroniarzy siedziało na schodkach przy głównym wejściu. Palili kiepskie papierosy i dyskutowali o polityce.

– Nie wolno im stykać się z obsługą głównej hali – wyjaśnił Drosselmeyer, otwierając drzwiczki służbowego mercedesa. – Utrzymujemy pozory kwarantanny. Nie mają pojęcia, czego tak naprawdę pilnują.

Paweł popatrzył na kierowcę, ponurego mężczyznę w ciemnych okularach i nienagannie wyprasowanym garniturze. Poczul się nieswojo. Facet okablował się zestawem słuchawkowym, a teraz rozmawiał z kimś przez komórkę. Skojarzenia z filmami sensacyjnymi nasuwały się same.

– Rozumiem, że to nie jest nowy gatunek gryzonia.

– Nie. – Pan Drosselmeyer rozciągnął wąskie usta w namiastce uśmiechu. – Nie jest. Proszę za mną.

Wnętrze hali przypominało raczej laboratorium niż sklep ze zwierzętami. Aby się tam dostać, musieli minąć biura i kilkakrotnie użyć elektronicznego klucza. Na tle laborantów w kitlach i personelu odzianego w standardowe urzędnicze uniformy Paweł wyróżniał się jak papuga w stadzie wróbli. Modny garnitur, czerwona koszula, długie włosy przyzbrane pianką. Wyznawał zasadę, że dobra prezencja to w jego zawodzie podstawa. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w powiedzenie, że szewc bez butów chodzi?

Przeszli przez służbę – nieduże pomieszczenie, w którym obydwaj zostali zaopatrzeni w sterylne fartuchy, rękawiczki, ochraniacze na buty i jednorazowe czepki. Laborantka, która wydawała sprzęt – młoda brunetka o drobnych, ślicznych ustach – powitała ich z tak promienną radością, że Paweł poczul się zakłopotany. Jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że warto by później zaprosić ją na kawę.

– Lubią tutaj pracować. – W spojrzeniu Drosselmeyera było coś wilczego.

Paweł nie po raz pierwszy zastanowił się nad jego podobieństwem do agenta Smitha albo gestapowca ze starych filmów.

Cóż. Nie wybierał zleceniodawców pod kątem ich sympatycznej fizjonomii.

Kiedy weszli do magazynu, pierwsze, co zobaczył, to rzędy małych klatek poustawianych na półkach i przykrytych szarym płótnem. Nie minęła sekunda – może dwie – a w pomieszczeniu rozległa się cicha, łagodna melodia, ni to śpiew, ni to świergot. Paweł poczul, jak jego mięśnie się rozluźniają. Ogarnęły go spokój i błogość, wszystkie życiowe problemy nagle stały się nieważne lub niezwykle proste do rozwiązania.

– Przyjemne, prawda? – zagadnął go Drosselmeyer. – Działa podobnie jak medytacja. Łagodzi negatywne emocje, relaksuje, poprawia koncentrację i jasność myślenia. Człowiek czuje się świeżo, jak po spokojnie przespanej nocy.

– No, dobrze. – Paweł w porę przypomniał sobie radę pośrednika, że niczemu nie powinien się dziwić. – Ale co to za zwierzę?

Jego rozmówca zdjął z półki małą klatkę i ściągnął z niej płócienną osłonę. Paweł wstrzymał oddech. Byłby wstrząśnięty, gdyby nie kojące działanie pieśni.

Elf mierzył kilkanaście centymetrów, trochę mniej niż lalka Barbie. Nie wyglądał ludzko, co najwyżej humanoidalnie; miał czteropalczone dłonie, małe stópki, wielobarwne skrzydełka i nieproporcjonalnie dużą głowę. Jego ciało było jasne i półprzejrzyste, przypominało figurkę uformowaną z wosku albo z plastiku, jak jednorazowe sztucce. Wpatrywał się w Pawła zaciekawionym spojrzeniem zielonych, nieco wylupiastych oczu.

– Najlepiej sypać im karmę dla ptaków – powiedział Drosselmeyer, odstawiając klatkę z powrotem na półkę. – W poidełku woda mineralna, bo od kranówki chorują. Owoce, koniecznie świeże, mogą być warzywa. Od czasu do czasu kawałek gotowanego kurczaka, ale lepiej z tym nie przesadzać. Od nadmiaru mięsa robią się trochę pobudzone.

Paweł przyglądał się, jak elf zaciska piąstki na metalowych prętach i nerwowo trzepoce skrzydełkami.

– Są bardzo czyste, więc jeśli o to chodzi, wystarczy umieścić słoiczek w kącie – kontynuował Drosselmeyer.

– O Boże... – Paweł nie mógł oderwać wzroku od klatki. Stworzonko usiadło na ściółce z trocin, a następnie za pomocą ostrych ząbków i zręcznych dłoni zaczęło obierać pestkę słonecznika. – A co mówią naukowcy?

– Rzecz jasna, są wniebowzięci. To znacznie bardziej interesujący obiekt niż nowy rodzaj żuka gnojowca, nie sądzi pan? Zaczniemy od tego, że te... istoty nie przypominają żadnego ze znanych nauce gatunków. O ile zrozumiałem wywody znajomego zoologa, ich istnienie stawia na głowie całą współczesną systematykę. Zabawa z klasyfikacją zapewniona na następne kilkanaście lat. Może nawet ktoś dostanie Nobla. My mamy trochę inne priorytety.

– Ach... oczywiście.

Elf był zwinny i wdzięczny, humanoidalny wygląd nadawał mu pozory człowieczeństwa. Paweł nie zauważył jednak w jego zachowaniu czegokolwiek, co świadczyłoby o inteligencji większej niż na przykład u chomika. To spostrzeżenie sprawiło, że odczuł ulgę. Gdyby było inaczej, postępowaliby przecież... jakos tak nieetycznie.

– A organizacje ekologiczne? – zapytał.

– Opłaciliśmy kogo trzeba. Zresztą nie działamy na szkodę gatunku, można powiedzieć, że wprost przeciwnie.

– A... jeśli ktoś zacznie hodowlę?

– Nie ma obaw. Te tutaj są nieplodne. – Drosselmeyer pogładził delikatnie klatkę. Stworzenie zaświergotało pytająco. – Robotnice. One się rozmnażają podobnie jak pszczoły albo mrówki, a królową trzymamy pod kluczem. I to jest właśnie najpiękniejsze. Nie grozi nam utrata monopolu.

Paweł poczuł, że w jego umyśle już zaczyna się kształtować zarys strategii marketingowej.

– Ciekawe, czy się przyjmą.

Pan Drosselmeyer ostrożnie zakrył klatkę płótnem.

– To już zależy od pana, panie Płocki.

Najpierw należało opracować target, co w tym wypadku było aż za proste. Piotruś Pan, Leśny Dzwoneczek, Calineczka, skrzydlate wróżki, zwierzątka w klatkach – idealny produkt dla dzieci w późnym wieku przedszkolnym i wczesnym szkolnym.

Zdecydował, że przy komponowaniu filmów reklamowych najlepiej obrać tę samą drogę, co twórcy współczesnych kreskówek – niby dla dzieci, a w rzeczywistości dla całej rodziny. W końcu to dorośli najbardziej skorzystaliby na uspokajających właściwościach elfiej muzyki.

Stąd rysunkowe wróżie, animowane komputerowo wróżie, biuściaste wróżie w skąpych wdziankach (nie szkodzi, że w rzeczywistości nie miały płci – seksem można sprzedać wszystko, począwszy od pasty do zębów, skończywszy na dachówkach). Urokliwe wróżie opowiadające dwuznaczne bajkowe dowcipy. Wojciech Mann rozmawiający z wróżią.

Prócz tego głosy ekspertów. Że bezpieczne. Że ekologiczne. Antyalergiczne, bo zasadniczo bezwłose, pominawszy tę odrobinę puchu na głowie, który chyba miał tyle wspólnego z prawdziwą sierścią, co futro gąsienicy. Oczywiście w żadnych reklamówkach, broń Boże, nie byłoby mowy o gąsienicach.

Muzyka nie brzmiała tak hipnotyzująco w nagraniach, jak na żywo, więc musiał dawkować ją umiejętnie. Nie mógł pozwolić, żeby utrwaliło się negatywne skojarzenie z kanarkami, papużkami albo innym

rodzajem zwierząt, które drą mordę przez cały dzień na okrągło. Nie sprowadzamy sobie kotów do domu dlatego, że o piątej nad ranem domagają się wyjścia na balkon, ale dlatego, że są puchate i mruczą.

Najwięcej kłopotów sprawiła mu oryginalność całego przedsięwzięcia. Ludzie pozornie lubią nowości, jednak tak naprawdę pod tą etykietką spodziewają się czegoś znanego w odrobinę zmodyfikowanym wariacie. Prawdziwych niespodzianek się obawiają. Każdy bestseller powinien osiągać pożądaną równowagę między znanym i nieznanym, zapewniać bezpieczne wrażenia, wzbudzać ciekawość jedynie w określonych granicach.

To oznaczało, że na kampanię reklamową potrzebował czasu – z wróżkami trzeba publicznie oswajać stopniowo. Powinien zapewnić sobie wsparcie naukowych autorytetów, przesłać darmowe egzemplarze znanym (byle nie nazbyt kontrowersyjnym – z racji targetu) osobistościom.

Klataczkę z elfem postawił na biurku. Nigdy nie wierzył we własne reklamy, toteż z początku tylko ostrożnie go obserwował. Zdumiewające, jak łatwo, jak bezstresowo pracowało się przy akompaniamencie kojących treli i świergotów. Szybko zrezygnował ze słuchania radia i zaczął odtwarzać dla niej (zdecydował, że to jednak ona – robotnica) muzykę klasyczną. Zorientował się, że elf podchwytuje i na własny sposób powtarza niektóre motywy.

Wróżka miała złote włosy (bo jak to nazwać inaczej – puch? Futro brzmi głupio, prawie obleśnie) i pomarańczowe ślepka. Z owoców najbardziej lubiła porzeczki. Potrafiła opchnąć całą kiść naraz, krzywiąc się przy tym i zabawnie kichając. Wcale nie była taka głupia jak chomiki, bardziej pod tym względem przypominała papuzkę albo gwarka. Kiedy wypuszczał ją z klatki, niczego nie brudziła ani nie niszczyła, zajmowała się tylko eksploracją otoczenia. Czasami siadała mu na ramieniu, zwłaszcza kiedy coś jadł. W końcu przestał zamykać drzwiczki.

Nazwał ją Lorelei.

W pracy szło dobrze jak nigdy dotąd. Paweł przestał się przejmować drobiazgami. Impulsu twórczego miał aż nadto, wrócił nawet do zarzuconego przed laty zwyczaju pisania krótkich, błyskotliwych rymowanek. Znalazł dziewczynę, której nie przeszkadzało, że prowadził dość, hm, swobodny tryb życia. Po raz pierwszy w życiu naprawdę układało mu się w związku, a partnerka zamierzała wkrótce wprowadzić się do niego na stałe. Oczywiście, ona też kupiła sobie elfa.

Sprzedawały się znakomicie. Ma się rozumieć, nie od razu. Starannie kreowana moda na stworzenia musiała się w końcu przyjąć w społeczeństwie. Przez całe lato mem rozpowszechniał się powoli. Pojawiały się artykuły w prasie, ludzie zaczęli polecać sobie nabytek pocztą pantoflową. Potem, gdzieś tak we wrześniu, wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, ruszyła lawina. Oprócz produktu właściwego dobrze schodziły także gadżety okołoeffie: koszulki, kubeczki, powstała nawet amatorska kreskówka, którą masowo ściągano z YouTube. Jak to w Polsce, natychmiast założono też klub elfich antyfanów, co tylko wzmogło ogólne zainteresowanie.

Śpiew elfów pomagał na wszystko: na nerwice, brak koncentracji, problemy małżeńskie. Eksperci wyrażali niejaką obawę o ryzyko uzależnienia, ale jak do tej pory nie zauważono żadnych skutków ubocznych. W kraju podniósł się poziom zadowolenia z życia. Ludzie uśmiechali się do siebie na ulicach. Spadła przestępczość i wzrósł PKB. I tylko psychoanalitycy mieli powód do narzekań.

Na ekscentryków, którzy do tej pory nie zaopatrzyli się we własnego elfa, patrzono z lekkim politowaniem.

Budzik wyrwał go ze snu o siódmej rano. Za oknem wciąż panował półmrok, jak to w listopadzie. Paweł szerzej rozsunął zasłony, żeby pierwszy blask słońca oświetlił biurko, kiedy on pójdzie się umyć i ogolić kilkudniowy zarost. Lorelei jeszcze się nie obudziła i nie zaczęła śpiewać; ostatnio odkrył, że potrzebowała do szczęścia więcej światła, niż można jej było zapewnić przy polskiej jesiennej pogodzie. Zaplanował kupno dobrej lampy halogenowej, już od kilku dni starannie przeszukiwał Internet, usiłując ustalić optymalną moc żarówek.

W łazience trochę przysypiał. Jako przedstawiciel wolnego zawodu nie miał zwyczaju wstawać tak wcześnie, ale tego dnia czekało go spotkanie na Woronicza. Kręcono program telewizyjny o tym, jak śpiewające elfiki zmieniają świat. Był współtwórcą ich komercyjnego sukcesu w Polsce, został więc zaproszony do studia razem z kilkoma specjalistami i panem Drosselmeyerem. Całe pół godziny w programie pierwszym, trudno wymarzyć sobie lepszą okazję do reklamy własnej skromnej osoby. Warto włożyć kolorową koszulę, błyszczącą marynarkę ze skaju, podkreślić trochę wizerunek kreatywnego bon vivanta.

Ziewając i rozgarniając palcami mokre włosy, udał się do kuchni. Tam wyjął z pojemnika na chleb dwie przedwczorajsze bułki, rozkroił je na połówki, a następnie posmarował masłem. Ich pierwsza świeżość minęła jakiś czas temu, ale wciąż świetnie nadawały się na tosty z serem i szynką.

Położył plasterki szynki na desce i skrupulatnie odkroił odfuszoną skórę, zmieniając jego naturalny kształt w artystyczną formę wielokąta. Po chwili usłyszał szelest skrzydełek. Lorelei wylądowała na blacie i ćwierknęła markotnie. Paweł pogładził ją palcem po główce. Wyglądała dość apatycznie; oczka miała zmatowiałe. Brakowało jej zwykłej energii, co bardzo go zaniepokoiło. Postanowił, że na spotkaniu w telewizji zapyta kogoś z naukowców, co ma zrobić, jakie dobrać lampy, żeby nie wyrządzić jej krzywdy.

– Co tam, mała? – zagadnął przyjaźnie. – Gdybyś piła alkohol, pomyślałbym, że jesteś wczorajsza. Pewnie chcesz bułeczkę, co? A może ciasteczko?

Lorelei przyklęknęła przy desce, obwąchując skrawki szynki.

– O, nie, nie, nie. Sio! To nie dla wrózek. Niedobre. – Odsunął ją delikatnie. – Konserwanty, azotany, wcale nie chcesz tego jeść.

Elfik zafukał z wyraźną irytacją. Paweł podsunął mu kawałek bułki.

– Naści, maleńka.

Zamiast, jak zwykle, z wdziękiem przyjąć podarunek, zasyczała wściekle i dziabnęła go w palec.

– Au! Kurr...! – Cofnął rękę.

Coś takiego! Jego słodkie maleństwo ugryzło go do krwi!

Korzystając z jego nieuwagi, wróżia natychmiast dopadła skrawków. Żarła jak miniaturowa bachantka, łapczywie i niehigienicznie; potem złapała w zęby okrojony plasterki, wzbijała się w powietrze i uciekła na szafkę pod sufitem.

– Jezus Maria!

Palec bolał go jak jasna cholera. Doprawdy, coś takiego, co za złośliwe stworzenie! Trzeba pamiętać, żeby chować przed nią jedzenie. Jeszcze coś jej zaszkodzi.

Pół godziny później zbiegał klatką schodową, w wielkim pośpiechu, po drodze sprawdzając, czy upchnął wszystkie papiery w teczce i czy nie zapomniał komórki. Był, rzecz jasna, spóźniony; punktualność nigdy nie należała do jego najmocniejszych stron, a tym razem dodatkowo rozproszył go ten niefortunny wypadek. Wskazujący palec prawej ręki pulsował boleśnie. Szlag by to trafił, trudno będzie klepać w klawiaturę.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się rozdrażniony. Lorelei nie zaśpiewała mu na pożegnanie. Schowała się gdzieś w kącie z upolowanym plastrem szynki, nieskora do wydawania rajskich treli.

Głupie zwierzę.

Poranek był wyjątkowo ponury. Gęste chmury kłębiły się na horyzoncie, niebo nad podwórkiem przybrało jednolity kolor brudnego dżinsu. Przed klatką schodową, nie wiedząc czemu, śmierdziało przypaloną cebulą. Ze ścian bloku odchodził tynk, śmietnik wyglądał na przepełniony (ktoś, cholera, płaci tutaj za regularny wywóz śmieci!), a sąsiadka właśnie srała psem na trawnik.

– Co też ten pani pies wyrabia! – huknął Paweł.

– Ależ proszę się nie martwić, nie ma problemiku. – Sąsiadka uśmiechnęła się promiennie. – Mam ze sobą torebeczkę i łopatkę, zaraz po nim posprzątam. To tylko piesek, on nie rozumie.

– A... no tak. – Zawstydził się swojego wybuchu.

Przyspieszył kroku, kierując się ku parkingowi.

Po drodze minął trójkę dzieciaków z tornistrami. Dziewczynki miały różowe plecaki z napisem: KOCHAM MOJĄ WRÓZIE. Chłopiec, młodociany fan metalu, był ubrany w czarną kurtkę, czarne wojskowe spodnie oraz plecak typu kostka, upiękuszony agrafkami i całą baterią naszywek. Jedna przedstawiała skrzydlatą postać z gitarą elektryczną.

Paweł jęknął. Sam wymyślił obydwaj gadżety.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy wewnątrz głównego gmachu TVP zmieniło się nie do poznania. Nadal co prawda przypominało labirynt, w którym nieuważni gubili się po kilku minutach; nadal wchodziło się przez bramki, a bramek pilnował strażnik. Rozwiała się jednak nerwowa atmosfera miejsca, w którym równie łatwo można przypadkowo zdobyć pracę, jak ją stracić.

Portier uśmiechnął się do Pawła po amerykańsku, wszystkimi zębami. Odhaczył jego nazwisko na liście, a potem sam, nieproszony, podał numer studia i wskazówki, jak do niego trafić.

Paweł minął przedsiónek, mimo woli przypatrując się wystawie zabytkowych kamer i odbiorników. Nogi same go niosły we właściwym kierunku, nie potrzebował wskazówek portiera. Zanim poszedł na swoje, pracował dla telewizji publicznej. Duszno tam było. Ludzie uważnie obserwowali, skąd wieje wiatr, podlizywali się ulubieńcom dworu, podgryzali nawzajem. Zrezygnował z radością, kiedy jego poglądy polityczne zaczęły zaważać nowym kierownikom, a piekielko w pracy stało się nie do wytrzymania. Ale to działo się dobre kilka lat temu, zanim jeszcze nastąpiła epoka wróżek.

Na tablicy ogłoszeń wisiały kiczowate pocztówki ze świątecznymi pozdrowieniami (w końcu połowa listopada to już początek przygotowań do Bożego Narodzenia). Ktoś zamienił czarno-białe fotografie telewizyjnych tuzów na kopie obrazów słynnych abstrakcjonistów. Młoda dziewczyna, która przemierzała korytarz z wielkim naręczem kserówek, rzuciła Pawłowi tak ciepłe spojrzenie, że przez chwilę jego myśli krążyły niebezpiecznie wokół zdrady.

Poczuł się jakoś niewyraźnie. Dziś, kiedy patrzył na świat bez różowych okularów, to wszystko po prostu nie było normalne.

Drosselmeyera znalazł w studiu, w świetle jupiterów. Od czasu ostatniego spotkania jakby urósł, zważniał. Kupił sobie najlepszy garnitur od Hugo Bossa. Teraz cierpliwie siedział na krzeselku pod reflektorem i uprzejmie słuchał sugestii kamerzysty. Paweł pomyślał, że brakuje mu tylko monokla.

– Ach, pan Płocki – odezwał się na jego widok. – Czekamy tutaj na pana.

Paweł uśmiechnął się półgębkiem, nieco zażenowany pewnością, z jaką tamten rządził się w studiu. Nie ulegało wątpliwości, że wpatrywali się w niego jak w proroka – gruby kierownik techniczny, zaroiłszy dźwiękowiec, zniewieściałą prowadzący, malutka pani reżyser, całe mrowie asystentów i asystentek. Nagle Pawła uderzyło spostrzeżenie, że wśród tych wszystkich niedorzecznie szczęśliwych ludzi tylko Drosselmeyer sprawiał wrażenie, można by rzec, trzeźwego.

– Dzień dobry, panie Płocki. – Pani reżyser, nieduża kobieta z mocno tlenionymi włosami i okularami w grubych czerwonych oprawkach, wyciągnęła rękę na powitanie. – Magda Firlej, bardzo mi miło. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo się cieszymy z pańskiego przybycia.

Jakby dała sygnał, wszyscy ustawili się w kolejce do witania. Rozpoznał technicznego – ten człowiek z dwoma podbródkami to nikt inny jak Michalski, Edzio „Blob” Michalski, z tym że bez swojego firmowego, wściekłego wyrazu twarzy. Paweł aż skulił się w sobie – praktykowany przez Edzia sposób zarządzania wywoływał w pracownikach trwałe uraz. Widok Bloba radosnego, ciepłego i usłużnego – nawet w obecnych okolicznościach – był wręcz nienaturalny.

Przez następne dwie godziny Pawła Płockiego traktowano z najwyższą atencją, jak *celebrity*. Przypudrowano mu twarz, poczęstowano wodą mineralną, a w dodatku podrywały go rozchichotane asystentki, niemal spijając słowa z jego ust. Jako człowiek od reklamy zazwyczaj pozostawał w cieniu swoich klientów, prawdziwych gwiazd towarzystwa, przeżywał więc całkiem nowe, zaskakujące i niezwykle przyjemne doświadczenie. Dotarło do niego, że kiedy zaczną napływać honoraria z lawinowej fali zainteresowania elfami, jego życie zmieni się w sposób, o jakim nie śmiał nawet marzyć.

Nadal jednak nie mógł się pozbyć wewnętrznego niepokoju.

Tymczasem robił to, co w jego zawodzie decydowało o sukcesie lub porażce, czyli nawiązywał kontakty. Rozmawiał z ekipą i z zaproszonymi do programu naukowcami. Doktor Śliwecki z Uniwersytetu Warszawskiego, starszy mężczyzna w okularach z bardzo grubymi szklami, przyniósł jednego elfa do ilustracji programu, ale stworzenie wcale nie kwapiło się do śpiewania i wyglądało na dość ospałe.

– Moja Lorelei również zachowywała się dzisiaj niepokojąco – wyznał Paweł. – Nie wie pan przypadkiem, co się mogło stać?

– Cóż – westchnął stary doktor. – Zauważyliśmy już wcześniej, że przy niedoborze światła i obniżonej temperaturze otoczenia robią się osowiałe. Do tej pory badania prowadzono na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, a nie w naszych warunkach. Szczerze mówiąc, odnoszę wrażenie, że aklimatyzują się z trudnością. Mieszka pan w bloku?

– Mhm. W dodatku mam narożne mieszkanie.

– I jeszcze nie włączyli panu centralnego ogrzewania? – Śliwecki zatchnął się z oburzenia. – Trzeba powiadomić Radę Miasta, dać artykuł do prasy, przecież tak daleko być nie może. Pochorują się biedactwa.

– A lampy halogenowe? – zasugerował Paweł.

– Mogą pomóc, chociaż uważałbym z natężeniem światła. One mają dość wrażliwe oczy.

– W oświetlenie najlepiej zaopatrzyć się w sklepie akwarystycznym – wtrącił nonszalancko Drosselmeyer. – Interes będzie się kręcił. W końcu niewiele osób kupuje teraz rybki.

Paweł, który nie dostrzegł zbliżającego się sprzedawcy elfów, wzdrygnął się, zaskoczony. Rzeczywiście, toczka w toczkę agent Smith, pomyślał i aż się zdumiał gwałtownym przypiływem niechęci, jaka go ogarnęła.

Tymczasem zadowolony Drosselmeyer krążył po studiu, pławiąc się w zasłużonej sławie i reputacji dobroczyńcy ludzkości.

W przerwie na drugie śniadanie Paweł kupił gazetę. Umościł się wygodnie na kanapie w korytarzu i zaczął czytać, pogryzając zatechłą od folii żywnościowej kanapkę z indykiem. Powoli cierpła mu skóra. Jak mógł do tego stopnia stracić zdrowy rozsądek? Jakim cudem nie zauważył, co się święci?

Dział publicystyki jeszcze go nie przeraził, a przynajmniej nie bardziej niż zwykle. Wiadomości z zagranicy były w miarę normalne, chociaż Paweł nie mógł się oprzeć wrażeniu, że podlegały redakcyjnej autocenzurze. Lektura działu krajowego wzbudziła w nim już pewien niepokój. Za bardzo wyważone felietony, zbyt wiele peanów pochwalnych na cześć elfików i Drosselmeyera, ogólna atmosfera wszechogarniającej miłości bliźniego, jak w okresie przedświątecznym albo w dodatkach wakacyjnych do kobiecych czasopism.

Zmroził go natomiast dział kultury. W kinach i w telewizji królowała nijaka, bezpłciowa papka. Paweł – który uważał się za artystę i wielkiego konesera sztuki – uświadomił sobie, że od pewnego czasu nie ukazał się żaden godny uwagi film, ani jedna ważna książka czy też poruszający album muzyczny. Nikt nie miał nerwic ani dylematów moralnych. Nikogo nie dręczył ból istnienia, nikt w pocie czoła, krwi i znoju nie walczył z życiowymi trudnościami. Nawet komedie, odwieczny sposób na odreagowanie, jakoś tak zmarniały.

– Cholera! – Przeczesał włosy palcami. – Niemożliwe.

– Co, nie śpiewało dzisiaj pańskie słońko? – zagadnął Drosselmeyer. Zbliżał się do kanapy, sącząc kawę z porcelanowej filiżanki. – Proszę się nie przejmować, taki dzień prędzej czy później każdemu się zdarza.

Paweł uniósł wzrok znad gazety.

– Na pana to nie działa – stwierdził oskarżycielsko.

– Ależ działa, panie Płocki. – Mężczyzna wykrzywił usta w minimalistycznym uśmiechu. – Jestem człowiekiem bardzo zadowolonym z życia. W dodatku zamożnym... oraz wpływowym, co też ma niebagatelne znaczenie.

No tak, szczęśliwy wilk nadal pozostaje wilkiem. W co, do diabła, myśmy się wpakowali?

– Inżynieria społeczna, piękna rzecz – dodał Drosselmeyer. – Proszę kupić lampy halogenowe, dobrze radzę. Będzie panu brakowało tej muzyki.

Po południu Paweł wybrał się do apteki, gdzie kupił zatyczki do uszu. Schował je do teczki z zamiarem użycia w bliżej niesprecyzowanym terminie. Na razie nie miał żadnego konkretnego planu działania, a dalsze postępowanie wyobrażał sobie dość mętnie. Bo co właściwie powinien zrobić? Zabić taką niewinną istotę? Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. A jeśli nawet zdobędzie się na tak drastyczny krok, co potem? Utworzy opozycję przeciwko firmie i zacznie namawiać ludzi, żeby ukrećali wróżiom główki?

Kiedy wrócił do domu, Lorelei, słodka jak zawsze, powitała go śpiewem i jego wątpliwości natychmiast się rozwiały. Nie powinien popadać w paranoję. W końcu co w tym złego, że ludzie wreszcie poczuli się szczęśliwi?

Dryfował na granicy snu i jawy. Coś mu się śniło, ale nie wiedział dokładnie co – brnął przez gąszcz półświadomych obrazów i niepokojących wrażeń. Widział cienie wielorękich postaci, napuchnięte ciała, wyłupiastookie głowy w chłodnych, fosforyzujących barwach. Powietrze miało konsystencję melasy. Pachniało wilgocią.

Nagle otworzyła się pod nim przestrzeń i uświadomił sobie, że nie ma się czego uchwycić. Spadał gwałtownie, godzinami, bez końca, aż napotkał opór. Powierzchnia, w którą uderzył, pękła jak bańka mydlana.

Pościel była mokra od potu. Chyba obśliznął poduszkę. Za oknem wyla karetka albo straż pożarna – wszystko jedno, byle tylko przestała. Drżał od porannego chłodu i pilnie potrzebował pójść do ubikacji. Nie czuł prawej ręki, którą widocznie przygniółł podczas snu.

Odszukał odrętwiałe ramię, żeby zmienić pozycję i odzyskać czucie. Przesuwając lewą dłońią wzdłuż przedramienia, poczuł, że jego palce zamiast skóry dotykają mokrej, zimnej, nieprzyjemnie lepkiej substancji.

Otworzył oczy i usiadł, gwałtownie łapiąc oddech.

Przez dłuższą chwilę bezmyślnie gapił się na prawą rękę. Zawodziła go percepcja. Był przekonany, że to dalszy ciąg koszmaru.

Coś lub ktoś wykroił fragmenty skóry i mięśni na długości całego ramienia, z chirurgiczną precyzją omijając główne arterie. Otwarte rany nie krwawiły; pokrywała je zielonkawa galareta o gumowatej konsystencji.

Wrzasnął przeraźliwie. Zerwał się z łóżka i stanął pośrodku pokoju, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi. Lewą dłoń zacisnął w pięść, wszystkie mięśnie miał napięte, dotkliwie bolał go pęcherz. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia, jak sparaliżowana. Wciąż nie mógł opanować histerycznego krzyku.

Z oddali niósł się śpiew, a może świergot. Melodia nie przypominała niczego, co kiedykolwiek słyszał. Zmieniała tonację, wibrowała w nienaturalnych gamach, dostrajała się do jego nerwów. Umilkł niemal natychmiast, odpłynął, utracił świadomość własnego ciała. Tępo patrzył przed siebie, usta miał półotwarte.

Frunęła w jego stronę, maleńka Lorelei, Lorelei o złotych włosach, chudych białych kończynach, z upiornie zakrwawioną twarzą. Nie mógł się ruszyć, patrzył jak wróżia wydyma policzki i pluje na poharatane ramię zielonkawą mazią. Czuł chłód biegnący wąskimi pasmami aż do szyi, ale miał wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu, jak we śnie. Leniwie zastanawiał się, jak ona może pluć i nucić jednocześnie.

Telefon.

Dzwonił.

Raz, drugi...

Wróżia się zawahała, obcy dźwięk wchodził jej w paradę.

To go otrzeźwiło, minimalnie, ale wystarczająco, żeby zadziałał instynkt przetrwania. Odruchowo chwycił najbliższy przedmiot w okolicy, ręcznik wiszący na oparciu łóżka. Rzucił nim w Lorelei, a przynajmniej spróbował, nie trafił. Umknęła pod sufit i zasyczała wściekle. Kolejno ciskał bluzą, książką, kubkiem po herbacie, wreszcie złapał teczkę z laptopem, zawinął nią raz, potem drugi, adrenalina dodawała mu sił. Wymachując teczką, wypadł z sypialni, instynktownie skręcił w lewo, runął do łazienki, na jasnozieloną mozaikę kafelków. Kopniakiem zamknął drzwi. Przekręcił zamek.

Ona znowu zaczęła śpiewać, przemknęło mu przez myśl, zamienię się w zombie, mam przesrane. Zatycki do uszu, gdzie są te zatycki? Drżącą ręką wybebeszył teczkę z całej zawartości. Laptop, papiery i papierzyska, stare wydruki, elektroniczne gadżety, kable, miętusy, garść długopisów, zatycki. JEST! Rozerwał opakowanie, pomagając sobie zębami, i natychmiast zrobił użytek z zakupu.

Przygasał szum łazienkowego wentylatora. Słuch Pawła jakby zwrócił się do wewnątrz, teraz rejestrował przesuwanie się zatyczek wewnątrz ucha, poruszanie szczęką, jakieś organiczne szумы. Drobną nieprzyjemność, zważywszy na okoliczności. Zwłaszcza na – o Boże! – zeżarte do połowy ramię, z żywym mięsem i pulsującymi żyłami na wierzchu. Chyba tylko dlatego nie zbierało mu się na wymioty, że jeszcze nie do końca wierzył, że już nie śpi. To wszystko było takie nierealne. Niemożliwe.

Zaczął wyrzucać na podłogę zawartość szafki z medykamentami.

Wiedział, że nie jest całkiem bezpieczny. Po pierwsze, nawet zatycki nie chroniły go w stu procentach przed pieśnią; po drugie, otepiałe efekty częściowo utrzymywały się nadal. Musiał zdobyć się na wielki wysiłek, żeby przewyciężyć chęć położenia się plackiem na kafelkach i pozostania w tej pozycji. Najchętniej zamknąłby oczy i z powrotem zapadł w sen.

Plastikowa szyba w drzwiach drżała. Coś w nią uderzało, raz po raz, z regularnością zegara.

Przedostanie się, pomyślał. Zabić, ratować życie.

Uklęknął przy zlewie, odsunął kosz na bieliznę i rozgarnął butle z płynami czyszczącymi. Potrzebował czegoś żrącego. Miał taki jeden do mycia wanny, chyba z bielinką. Przegryzał się przez kamień i śmierdział chlorem, więc musiał to być niezły zajzajer.

Sprawdził działanie dyszy, przyskajac płynem do wanny. Zachichotał nerwowo. *Cytrynowy, świeży zapach.*

Nie myślał, czy to zadziała, w ogóle nie myślał, nie było czasu na myślenie. Szyba wypadła z trzaskiem z framugi, pomięta jak plaster miodu, i do środka przez wąskie okienko wleciała Lorelei.

Wyciągnął rękę przed siebie i z zamkniętymi oczami nacisnął dyszę: raz, dwa, trzy razy. Rozległ się przenikliwy wizg, jakby ktoś rysował nożem po szkłe. Poczuł ostry ból w zdrowym przedramieniu i otworzył oczy, żeby zobaczyć, jak Lorelei, wbita zębami w jego rękę, z furią usiłuje utrzymać się w powietrzu. Ciężko trzepotała skrzydełkami, a na jej białym ciałku wykwiwały czerwone plamy.

Uderzył elfikiem o ścianę. Lorelei spadła na stos brudnej bielizny. Zarzucił na nią bluzę, a potem zamordował za pomocą rączki od prysznicza. Tłukł długo i z wielką zaciętością, zanim wróżia nareszcie przestała się ruszać.

Opadł na kolana. Dławiło go w gardle, i to nie miało nic wspólnego z silną wonią środka czyszczącego, która wypełniała teraz łazienkę. Powinien zająć się opatrywaniem swoich ran, ale zamiast tego ostrożnie zdjął zakrwawioną bluzę z maleńkiego, zmasakrowanego ciała.

Palcem wskazującym zamknął małe pomarańczowe oczka, po czym głośno i rzewnie zaszlochał.

Trzeba było coś robić, jakoś żyć, doprowadzić się do porządku. Zużył wszystkie bandaże na opatrunki, pociął prześcieradło, z szalika zrobił temblak. Nie odzyskał czucia w prawej ręce i nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi. Jeżeli śluz przestanie działać, ból może stać się nie do wytrzymania. Na wszelki wypadek odszukał w apteczce pyralginę. Lepsze to niż nic.

Zakrawało na ironię, że po tym wszystkim jeszcze chciało mu się jeść. Prawdę mówiąc, kiedy tylko spadł mu poziom adrenaliny, Paweł natychmiast zaczął omdlewać z głodu. Opierając się zdrową ręką o ścianę, powoli wyszedł z łazienki.

W kuchni czekał go wstrząs. Z sufitu na cienkich zielonych niciach, jak na pajęczynie, zwisały oblepione mazią nieduże krwawe ochłapy, łącznie pięć sztuk. Paweł zorientował się, że patrzy na fragmenty własnych mięśni. Czego Lorelei nie dała rady zjeść, skrzętnie zmagazynowała w pomieszczeniu, które kojarzyło się jej z pożywieniem.

Zasłonił usta, czując bolesny skurcz żołądka. Dla własnego dobra postanowił zacisnąć zęby i nie zwracać uwagi na wystrój kuchni. Zgarnął z pojemnika na chleb pół razowca, wydobyl z szuflady pierniczki i wedlowską czekoladę, zabrał kilka leżących na parapecie mandarynek i czym prędzej wrócił do sypialni, gdzie było – mniej więcej – czysto. O wędlinach nie mógł nawet myśleć. Zakrwawioną pościel przykrył kapą, a na dywanie rozrzucił warstwę kserówek.

Po pewnym czasie dostrzegł, że na brzegu szafki nocnej drga telefon komórkowy. Wyjął zatyczkę z lewego ucha. Dotarły do niego pierwsze tony „Carmen”, zakłócone alarmem wibracyjnym. Odemknął komórkę. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że takie makabreski mogą powtarzać się w każdym domu, w całej Polsce. Ba, w każdym kraju, w którym wróżie stały się modne.

Muszę zadzwonić. Puls znowu przyspieszył. Do rodziców, do brata, do Moniki...

– Halo? Kto mówi?

– Pan Płocki? – Głos po drugiej stronie brzmiał znajomo, chociaż Paweł nie mógł przypomnieć sobie rozmówcy. – Żyje pan, dzięki Bogu! Mówi Śliwecki, Ireneusz Śliwecki. Wymieniliśmy wizytówki, pamięta pan? Proszę posłuchać, niech pan ją zabije, możliwie jak najszybciej, chodzi o pańskie życie!

– Żyję – odezwał się ostrożnie. – I już... już to zrobiłem. Ona... jak to się stało? Nic panu nie jest?

– Jesteśmy głupi, tacy głupi, panie Płocki. Żyjemy szybko, działamy szybko, nie zastanawiamy się nad konsekwencjami. Niby tacy przemyślni, cywilizowani, wyzwoleni od wszystkich praw przyrody. A tu niespodzianka! Wpadliśmy w najstarszą pułapkę świata.

– O czym pan...

– Proszę spojrzeć za okno. – Głos starego doktora drżał z nadmiaru emocji. – Proszę spojrzeć. Co pan widzi?

Paweł podszedł do okna, jednym szarpnięciem odsunął zasłonę. Nie wypatrzył na podwórku ani jednej żywej duszy. Nie świadczyło to jednak o niczym nadzwyczajnym. Z sypialni nie było widać piaskownicy, głównego ośrodka życia towarzyskiego na gierkowskim blokowisku. Minęła już dziesiąta, a o tej porze rzadko widywało się ludzi idących do pracy. Jeżeli nawet podobne dramaty rozegrały się na całym osiedlu, na pierwszy rzut oka niczego nie dało się zauważyć.

Temperatura w nocy spadła gwałtownie; kałuże ściał mróz, trawnik pokrywała cienka warstwa pierwszego śniegu. W powietrzu gęsto wirowały posklejane płatki.

– Nic się nie dzieje – powiedział. – Nic. Pada śnieg. No, śnieg pada.

– Mamy tyle przykładów w naturze, począwszy od bakterii, skończywszy na endofitach roślinnych – kontynuował doktor, nie zważając, czy rozmówca go słucha. – Kiedy symbiont staje się w pewnych okolicznościach pasożytem. Rozumie pan, zmieniają się warunki środowiskowe, nadchodzą ciężkie czasy i bach! Przełącza się metabolizm. Nikt się nie zastanowił, czemu służy to ich śpiewanie, omamiły nas jak mocnym narkotykiem. W przyrodzie zawsze istnieją skutki i przyczyny, nie ma zbędnych przystosowań. Panie Płocki, kto tutaj właściwie kogo hodował?

– W tej sytuacji to już i tak wszystko jedno! – wybuchnął Paweł. – Poszarpała mi całą rękę, a ja nawet się nie obudziłem.

– To cud, że pan żyje. Mógł się pan wykrwawić.

– Wydaje mi się... – Przygłodził dłonią włosy, mocno przyciskając palce do czaszki. – Że nie chciała mnie zabić. No, przynajmniej nie od razu.

– Widocznie pana polubiła – szepnął doktor.

Paweł nagle zrozumiał, że po drugiej stronie musiało wydarzyć się coś znacznie gorszego. Na dłuższą chwilę w eterze zapadła cisza.

– Niech pan dzwoni do tego Drosselmeyera – odezwał się wreszcie Śliwecki. – I każe mu natychmiast zlikwidować królową, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Niech się przynajmniej nie mnożą. Powiadomię kogo się da, jeszcze można to zatrzymać, zmobilizować ludzi, przecież nie wszyscy kupili... Większe ośrodki miejskie, ale nie w małych, nie na wsi, taka nowinka... Istnieją słuchawki ochronne, gaz usypiający, różne metody wabienia. Proszę działać, panie Płocki, pan go zna, pan wie, gdzie to trzymają...

I ja to pomogłem sprzedać!

– Już dzwonię.

Śliwecki się rozłączył. Paweł pospiesznie zaczął wybierać nazwiska w komórce. Rodzice. Rodzeństwo. Dziewczyna. Wreszcie Drosselmeyer.

Tutaj telefon Anny Płockiej... Dodzwoniłeś się do poczty głosowej Michała... Abonent jest czasowo niedostępny... Zostaw wiadomość po sygnale...wiadomość po sygnale...

Bał się próbować ponownie. Wygodniej było wierzyć, że przeżyli, że starają się tylko opanować chwilowe zamieszanie, że oddzwonią prędzej czy później.

Drosselmeyer również nie odpowiadał. I chociaż zwykle Paweł w skrytości ducha życzył mu wszystkiego najgorszego, teraz poważnie się zaniepokoił.

Co robić?

O królowych wiedział więcej niż doktor Śliwecki. Znał statystyki sprzedaży – do tej pory na rynek trafiło prawie milion elfów. Zważywszy że z pojedynczego roju dawało się pozyskać do stu tysięcy osobników, bez wątpienia mogło istnieć nawet kilkanaście matek. Z niejasnych uwag i napomknięć Drosselmeyera Paweł wywnioskował, że wszystkie trzymano w tym samym magazynie na obrzeżach Warszawy, w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu.

Powinna się tym zająć policja, pomyślał, i wystukał numer 997. Oczywiście linia była zajęta. Wypróbował numery pogotowia, straży miejskiej i straży pożarnej, za każdym razem z identycznym skutkiem.

Chryste!

Westchnął ciężko, odgarniając włosy z twarzy. Potrzebował łomu, gazu pieprzowego, porządnego noża. I przynajmniej dwóch głębszych, bo nikt normalny nie ratuje świata na trzeźwo.

Do magazynu dotarł na wpół pijany, co w pewnym stopniu pomagało mu radzić sobie z sytuacją. Nadal dygotał wewnątrz po tym, jak na Puławskiej o mały włos nie zderzył się z motocyklem prującym ze dwieście na godzinę. Histeria na ulicach narastała z każdą minutą. W okolicach Stegien Paweł widział dymiący jeszcze wrak poloneza rozbitego na pokrytym grafitti murze. Tu i ówdzie dostrzegało się zdeorientowanych, przerażonych, błakających się bez celu przechodniów. Niektórzy, w pokrwawionych ubraniach, wyglądali na ciężko rannych.

Wciąż, bliżej i dalej, wyły syreny policyjne, karetki. Cywilizacja działała już tylko siłą rozpędu. Program pierwszy Polskiego Radia nadawał sygnał klęski żywiolowej. Inne stacje zamilkły. Nie odzywał się prezydent ani żaden inny polityk, komunikaty powtarzał nikomu nieznanemu generał. W witrynach sklepów powybijano szyby. Ludzie, którym brakowało pieniędzy na zakup wrózi, przetrwali i teraz, we własnym mniemaniu, dokonywali aktów dziejowej sprawiedliwości.

Paweł zastał otwartą bramę, a budkę strażnika – pustą. Nieznacznie dodał gazu i przetoczył się przez podjazd, po raz kolejny dziękując w myślach człowiekowi, który wynalazł automatyczną skrzynię biegów. Niebieska toyota podskakiwała lekko na spójniach betonowych płyt.

Dookoła panowały cisza i niczym niezmacony bezruch. Pod szarym budynkiem stały dwa niechlujnie zaparkowane tiry, nieopodal piętrzyły się puste kontenery. Z wolna przykrywała je cienka warstwa śnieżnego puchu.

Od tamtego pierwszego spotkania Paweł jeszcze dwukrotnie odwiedzał magazyn; za każdym razem oglądał tylko biuro. Wiedział, że już od dawna nie przechowywano tutaj znakomitej większości towaru. W miarę jak rozwijano sprzedaż, Firma musiała wynająć inne pomieszczenia, zresztą nie tylko w Warszawie. Tu jednak znajdowały się laboratoria, to miejsce regularnie odwiedzał Drosselmeyer i z czasem pojawiało się coraz więcej ochrony. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić dlaczego.

Kilka minut siedział w samochodzie, obawiając się wyjść. Przez jego prawą rękę co jakiś czas przebiegały skurcze i ukłucia, jak po łagodnych wyładowaniach elektrycznych. Mrowiły go palce, a na bandażu pojawiło się kilka czerwonych plam. Niedługo będzie musiał działać mimo bólu, więc może lepiej się pospieszyć. Poprawił temblak.

Wyciągnął ze skrytki butelkę, gołnął tyk, potem dwa. Wzdrygnął się solidnie, zazwyczaj rozcieńczał tak mocne alkohole w koktajlach albo lodem. Wetknął zatyczki, upewnił się, że są dobrze dopasowane (po dużej porcji szkockiej wszystko powinno działać lepiej), do kieszeni kurtki schował gaz pieprzowy, a z przedniego siedzenia zdjął łom.

Przed wejściem do magazynu zatrzymał się. Nieregularny, przysypany śniegiem kształt, którego z daleka nie potrafił (lub nie chciał) rozpoznać, okazał się nieboszczykiem w czarnym uniformie ochrony. Paweł po raz pierwszy w życiu, poza ekranem telewizyjnym, widział trupa, w dodatku człowieka zmarłego gwałtowną śmiercią. Ochroniarz leżał na schodkach, twarzą zwrócony ku ziemi, a dookoła rozlewała się wielka plama krwi. Pewnie zginął od przerwania tętnicy szyjnej, Paweł jednak nie miał ochoty tego sprawdzać.

Denat raczej nie był pogryziony, nie dało się jednak tego stwierdzić bez odwrócenia zwłok na plecy. W prawej dłoni trzymał jeszcze ciężki pistolet czy też rewolwer, w każdym razie dość masywną broń palną. Paweł nawet jej nie dotknął, nie zamierzał bawić się w kowboja. Taką spluwą prędzej już sam zrobiłby sobie krzywdę, zwłaszcza że miał sprawną tylko lewą dłoń.

Chyba jednak warto go obszukać. Mógł mieć przy sobie klucz, elektroniczną przepustkę czy coś takiego... Zawsze nosili po kieszeniach takie rzeczy, przynajmniej w grach komputerowych.

Trącił nieboszczyka czubkiem buta, a potem rozejrzał się wkoło z pewnym zawstydzeniem. Życie to nie gra, a on nie gustował w przeszukiwaniu zakrwawionych zwłok. Chyba za mało tej whisky wypić, skonstatował. Jeszcze mam skrupuły.

Wtem zobaczył, że drzwi są uchylone.

Chwilę później przypomniał sobie, że kluczy przeważnie należy szukać w szafkach na klucze, w tym przypadku na portierni.

Wszedł do środka, mocno zaciskając lewą dłoń na łomie.

Drugi nieboszczyk leżał tuż przy wejściu. Jego twarz, z poszarpanymi policzkami i krwawą miazgą zamiast oczu, przypominała makabryczną maskę. Paweł przestąpił nad nim bardzo ostrożnie, udając sam przed sobą, że nie zobaczył niczego nadzwyczajnego. Ruszył naprzód korytarzem. Serce niemal wyskakiwało mu z piersi.

Przewrócone kubki obok ekspresu do kawy, papiery rozrzucone na wykładzinie. Schłodzone biurka, identyczne komputery, wielofunkcyjne ksero w pokoju socjalnym. Rządki kolorowych kubków przy czajniku. Spetryfikowane życie biurowe. Żadnych ludzi. Żadnych elfów. Żadnych trupów. Wszystko zaczęło się jeszcze nad ranem, ludzie nie zdążyli dotrzeć do pracy. Tylko nocna zmiana ochrony pozostała na posterunku.

Jakiś czas Paweł błądził po biurze. W jednym z pomieszczeń natknął się na ślady szamotaniny: porzucane krzesła, kilka zrzuconych na ziemię klatek z powyłamywanymi drzwiczkami. Wykładzina była poznaczona krwią i zielonym śluzem, Paweł nie znalazł jednak zwłok, ani ludzkich, ani elfich. Albo przebywał tutaj tylko jeden ochroniarz, albo komuś jednak udało się uratować.

W końcu przypomniał sobie, którędy idzie się do laboratoriów. Skręcił w jasno otynkowany, wyglądający sterylnie korytarz, poszukał zejścia na poziom minus pierwszy.

Zastanowiło go, że drzwi prowadzące do części badawczej, zbrojone, z elektronicznymi zamkami, są otwarte. Coś go tknęło. Odłożył łom na ziemię, z największą ostrożnością wyjął jedną zatyczkę z ucha, wyciągnął z kieszeni komórkę. A może i ty tutaj jesteś, Drosselmeyer?

Telefon odmówił współpracy. Nic, bunkier, brak zasięgu.

Zejść, nie zejść. Na dole – setki wygłodniałych potworów w klatkach, a kto wie, czy nie fruwać swobodnie po magazynie. Na dole – bliżej niezidentyfikowane miejsce, gdzie pod kluczem trzyma się płodne, nietłone królowe. Jeżeli są tak szczelnie zamknięte, to po co je zabijać? Niech same zdechną. Komu potrzebny ten niewczesny heroizm?

Z drugiej strony, nigdy nic wiadomo. Może są odporne na śmierć głodową? Może potrafią zapadać w stan okresowej hibernacji? Jeśli z pełną świadomością zostawi taką bombę zegarową, takie kukułcze jajo ludziom, którzy prędzej czy później odnajdą to miejsce, popełni zbrodnię. Dość już, że do spółki z Drosselmeyerem i firmą był winien ludobójstwa... Oczywiście, gdyby nie on, znaleźliby innego specjalistę, kto inny nakręciłby reklamówki, zapewne równie skutecznie – istniało wielu fachowców w branży. Ale padło na niego.

A zawsze uważał się za dobrego człowieka.

Zbiegł na dół, jakby się paliło. Zatrzymał się w korytarzu. Na prawo, na lewo – mnóstwo identycznych, pomalowanych na biało drzwi. Ta laboratoryjna biel, ta powtarzalność, ten chłód. Ostre, nieprzyjemne światło jarzeniówek.

Postąpił krok naprzód i zamarł. Jego buty lepiły się do podłogi; wzdłuż korytarza ciągnęły się nitki zielonego śluzu. Teraz zauważył niewielkie grudki mazi, poprzyklepiane tu i ówdzie do ścian, przypominające galaretowate grzyby, jakie czasem można znaleźć na martwych pniach drzew. W powietrzu unosił się charakterystyczny szpitalny zapach.

Nie słyszał żadnej melodii. Nie wiedział jednak, czy to nie zasługa zatyczek i czy nie umknęły mu jakieś cichsze dźwięki. A może wróżie nie śpiewały, bo do tej pory nie miały dla kogo?

Szedł krok za krokiem w absolutnej ciszy, odrywając buty od kleistej mazi. Przyglądał się tabliczkom na drzwiach, szukał wskazówek.

Za zakrętem natknął się na Drosselmeyera.

Sprzedawca elfów siedział pod zbrojonymi drzwiami do śluzu. Garnitur miał poszarpany i zaplamiony krwią, twarz zmasakrowaną. Żył jeszcze i obserwował korytarz spod na wpół przymkniętych powiek. Z dłoni wysuwała mu się duża puszka środka owadobójczego w sprayu. Dookoła leżało bez ruchu kilka drobnych ciałek o różnobarwnych włosach.

Uniósł głowę, wykrzywił usta w półśmiechu i zaczął coś mówić. Paweł wyjął zatyczkę z ucha, co wzbudziło w Drosselmeyerze pewne rozbawienie.

– Jest pan... przygotowany. – Z trudem wypowiadał słowa. – To... wie pan... niewiele daje.

– A jak... – Paweł wskazał trupki.

– Ja mam trochę... naturalnej odporności. – Drosselmeyer splunął krwią. – Melodia oddziałuje na emocje. Trafia do serca. – Zachichotał. – Zły... adres.

– A jednak ruszyło pana sumienie i przyjechał pan tutaj. – Paweł pokręcił z obrzydzeniem głową. – To, co Firma zafundowała ludzkości...

– Sumienie...? Ha... Nocowałem w biurze. Te małe skurwiele mnie zabiły! – Drosselmeyer akcentował z pasją każde słowo. – Miałem je... pogłaskać po główkach? Ludzkość? Gatunek-chwast! Najwyższa pora... żeby trafił się wróg naturalny. Ludzkości mi nie żal. Biznesu... owszem. – Skończył mu się oddech i zakasłał charkotliwie. – Te tutaj... to własność prywatna – dodał ledwo słyszalnym szeptem. – Transport jest za drzwiami. Uruchomiłem systemy gaśnicze. Wkrótce skończy im się tlen.

– Królowe – warknął Paweł. – Gdzie są królowe?

– W cieplarni. Drzwi dwadzieścia jeden, korytarzem do końca, kod zero-osiem-dziewięć-jeden-osiem. Kartę mam w kieszeni. – Słowa zlewały się, coraz trudniej było je zrozumieć. – One nie śpiewają...

Mężczyzna oddychał płytko, niespokojnie. Paweł z pewnym wahaniem schylił się, żeby przeszukać jego marynarkę. Nagle Drosselmeyer otworzył oczy.

– Porozumiewają się za pomocą ultradźwięków – powiedział bardzo wyraźnie. – Rój to społeczność, rozumie pan? Stąd wszystkie wiedziały, że zmienia się pora roku. Teraz też... będą wiedzieć.

Paweł nie miał siły zastanawiać się nad słowami sprzedawcy elfów. Ból w prawej ręce stawał się nie do zniesienia, kręciło mu się w głowie, odczuwał też obezwładniającą miękkość w kolanach. Zdawałoby się, płynął korytarzem, zamiast nim iść. Świetlówki migotały z drażniącą częstotliwością, ściany to się zbliżały, to oddalały od siebie. Zatrzymywał się co kilka kroków, zbierał myśli, zmuszał się do dalszego działania. W pewnym momencie złapał się na tym, że stoi naprzeciw tablicy ogłoszeń i mimowolnie czyta instrukcję przeciwpożarową. Litery rozmazywały mu się przed oczami.

Przynajmniej wreszcie pozbył się łomu. Zabrał za to Drosselmeyerowi puszkę ze środkiem owadobójczym, świństwo najwyraźniej było skuteczne. Miał jeszcze przy sobie nóż, chociaż wątpił, czy w takim stanie potrafiłby go skutecznie użyć.

Dotarł wreszcie do drzwi z numerem dwadzieścia jeden. Z początku nie mógł trafić kartą w czytnik, więc rozbrajanie zamka zajęło mu trochę czasu. Wejście do cieplarni również zaprojektowano na zasadzie śluzy – w korytarzu, który się rozciągał za pierwszymi drzwiami, stały wieszaki z fartuchami, stół z pudełkami osłon na buty oraz lateksowych rękawiczek w różnych rozmiarach. Dodatkowe zabezpieczenie, jak w przypadku hali. Paweł zastanawiał się, jakim celem pierwotnie służył magazyn, bo przecież nie zbudowano go w ciągu kilku miesięcy na potrzeby firmy.

Popatrzył na rozsuwane metalowe drzwi i zawahał się. Nie śpiewają. Podobno nie śpiewają. Siedzą grzecznie w klatkach, nieruchawe i sztucznie dokarmiane. Naprawdę nie ma się czego obawiać.

Przesunął kartę wzdłuż czytnika. Zaczął wklepywać cyfry. Pomylił się, zamiast w dziewiątkę trafił w ósemkę. Na wyświetlaczu pojawił się uprzejmy napis: BŁĄD – PROSZĘ O PONOWNE WPROWADZENIE KODU. Kropla potu spłynęła mu po karku. Wsunął kartę jeszcze raz, wcisnął cyfry powoli, jedna po drugiej.

Zapaliła się zielona lampka i drzwi rozsunięły się płynnym ruchem.

W pierwszej chwili poczuł dotyk ciepłego powietrza na skórze. Woniało trochę amoniakiem, trocinami, konwaliowym płynem do mycia podłogi. Wyłożona kafelkami w kolorze sepii podłoga lekko lśniła od wilgoci.

Wzdłuż ściany naprzeciwko wejścia rozciągały się szklane blaty. Nad nimi stały w oszklonych szafkach porządnie rozmieszczone butelki z roztworami, duże plastikowe próbówki i nieznanne Pawłowi pomoce laboratoryjne. Na szkle pozostawiono jeszcze pudełka, szalki, nawet jeden notatnik z odrywającymi kartkami, z rodzaju takich, jakie rozdaje się na promocjach. Pośrodku blatów zamontowano duży zlew. Prócz tego na biurku obok leżał dość wysłużony laptop i niewielkie urządzenie, którego przeznaczenia Paweł nie potrafił odgadnąć.

Po prawej i lewej stronie ustawiono solidne rusztowania z półkami, takimi jak w sklepie zoologicznym. Stało tam obok siebie kilkanaście terrariów oświetlonych silnymi lampami; na pokrywach migotały diody termostatów.

W każdym terrarium znajdowało się napuchnięte, białe ciało wielkości niemowlęcia, o małej główce i nieforemnych kończynach. Dookoła, w dużych grudach galaretowatej substancji, spoczywały żółtawe, kuliste kształty wielkości moreli.

Kiedy Paweł postąpił kilka kroków do przodu, usłyszał stłumiony głos dobiegający z terrarium.

- Odwirować i wstrząsnąć.
- Sto pięćdziesiąt – dodała druga królowa. – Pora karmienia.
- Dwadzieścia mikrolitrów. Dwa pięć, sto razy stężony.
- Natychmiast sprawdź temperaturę.
- Powtórzyc sto gramów... duża porcja.
- Znowu się spóźniłeś. Przeplukać, wstrząsnąć, wirować.

Mówiły wszystkie naraz, imitując zasłyszane wcześniej głosy, włącznie z tonacją i akcentem, nawet z błędami wymowy. Paweł stał osłupiały i zastanawiał się, czy można w tych wypowiedziach odnaleźć wzór, uchwycić jakikolwiek sens, ślad rozumnej myśli. Nie mógł się zdecydować. Może próbowały dać mu coś do zrozumienia, domagały się pożywienia albo regulacji temperatury? A może traktowały ludzką mowę jak trochę bardziej wyrafinowaną melodię?

Podszedł do pierwszego terrarium z rzędu (natrętnie przychodziło mu na myśl skojarzenie z inkubatorami), odsunął pokrywę. Dokładnie opryskał stworzenie trucizną, natychmiast z powrotem zasunął wieko i czekał. Po chwili zamiast ludzkiej mowy rozległ się przenikliwy pisk. Tłuste, bezwłose ciało dygotało w konwulsjach.

Powtórzył operację ze wszystkimi królowymi. Od chóralnego wycia włosy stawały mu dęba na głowie, tego nie dawało się znieść. Z przerażeniem i z obrzydzeniem zastanawiał się, czy jednak nie będzie musiał użyć noża.

Szamotały się dobre kilka minut, w końcu zaczęły cichnąć. Patrzył na stopniowo nieruchomiejące, całkowicie bezbronne istoty i chciało mu się płakać. Albo rzygać. Nieistotne. Wbrew wszelkiej logice czuł się jak dzieciobójca.

Rój to społeczność, jak powiedział Drosselmeyer. Jeśli małe wróżie rzeczywiście komunikowały się z matkami, bezpośrednio lub za pośrednictwem siostr, teraz powinny całkowicie się pogubić. Paweł usiadł na podłodze. Pewnie na dłuższą metę uratował kraj, ale jedyny pomysł, jaki w tej chwili przychodził mu do głowy, to wrócić na parking i osuszyć do dna butelkę szkockiej.

Podłubał w uszach, nareszcie pozbył się zatyczek.

I wtedy usłyszał dobiegający z oddali śpiew. Jeden głos, potem drugi, trzeci, kolejny...

Odwrócił się. Bardzo, bardzo powoli. Stopniowo uświadamiał sobie, że o pozostawioną w samochodzie butelkę whisky właściwie nie musi już się martwić.

W korytarzu za jego plecami kłębiły się elfy.

Suteryna w przedwojennym budynku dawno przestała służyć celom mieszkalnym. Gromadzono tam stare wózki, nieużywane meble, stosy czasopism, które żal było wyrzucić. Nieduże okienko zimą zostawiano otwarte. Zdarzało się, że znajdowały tu schronienie półdzikie osiedlowe koty.

Na parapecie przysiadło małe skrzydlate stworzenie. Dłuższą chwilę węszyło intensywnie, następnie z pewną ostrożnością wfrunęło do środka. Rejestrowało przyjemne zapachy, obietnicę kalorycznego pożywienia, temperaturę, podwyższoną od gorących rur przebiegających wzdłuż ściany.

Dobre miejsce. Przy odrobinie szczęścia mogło zapewnić przewagę w wyścigu, jaki wkrótce się rozpocznie. Wszystkie sygnały wskazywały na to, że królowe zginęły gwałtowną śmiercią, a struktura roju uległa zniszczeniu. W robotnicach zaczynały się budzić nieczynne dotychczas gruczoły hormonalne. Najwyższa pora znaleźć sobie odpowiednie siedlisko i rozpocząć metamorfozę.

Kiedy nadejdzie wiosna, tylko najsilniejsze zostaną matkami.

**CZY KOCHASZ
SWOJĄ WRÓZIĘ?**